

Wywiad z dr. Ignacym Dolińskim

Janusz Szablewski: Skąd wzięło się Pańskie zainteresowanie językiem bułgarskim oraz językami słowiańskimi w ogóle i dlaczego wybrał Pan studia slawistyczne?

Ignacy Doliński: Jeszcze w bardzo zamierzchłych czasach, w szkole podstawowej, bardzo frapowało mnie coś pozornie absolutnie oczywistego, mianowicie fakt, że ludzie mówią różnymi językami. W domu mieliśmy sporą bibliotekę, w niej między innymi trochę książek rosyjskich (np. jeszcze po babci, z gimnazjum carskiego), francuskich, jakąś niemiecką encyklopedię, słowniki – wszystko to było dla mnie bardzo ciekawą lekturą. Realia szkoły podstawowej czasów PRL-u na prowincji nie dawały możliwości poznawania innych języków obcych poza rosyjskim, którego uczyłem się (może to dziwić, ale tak było) powodowany negatywną motywacją, ponieważ chciałem się zrównać kompetencjami z niezbyt lubianą nauczycielką. Późniejszy udział w olimpiadach języka rosyjskiego wiązał się z coraz większym nakładem pracy i, co za tym szło, podnoszeniem znajomości języka, poznawaniem literatury itd. Mieszkanie w pobliżu naszej wschodniej granicy dawało możliwość słuchania języka rosyjskiego przez radio, rozumiałem więc coraz więcej słów, całe frazy, wyrażenia żywego języka, zapamiętywałem piosenki, które traktowałem jako zapisane w głowie nagrania tekstu i właściwej wymowy; z czasem zaś potrzeby „olimpijskie” odeszły na dalszy plan, a zaczęło mnie głównie pociągać i bawić naśladowanie fonetyki (przy czym różnych języków – upodobanie do tej zabawy pozostało mi do dziś). W szkole średniej w Lublinie miałem już szansę zetknięcia się z kolejnymi językami, których uczyłem się dużo więcej niż trzeba było, zwłaszcza z niemieckim oraz... węgierskim. Znajomość tego ostatniego doprowadziłem do poziomu czytania prasy i rozumienia poezji, a nawet umiejętności konwersowania (niestety, okazji do tego było wtedy bardzo niewiele, poza jakimiś wakacyjnymi spotkaniami z madziarskimi turystami). Językiem rosyjskim już się nasyciłem, przestał mnie pociągać, choć właśnie przez to „okno” zacząłem dostrzegać bezkres więzi genetycznej i językowych podobieństw słowiańskich.

Takie sobie też wymarzyłem studia, już na Uniwersytecie Warszawskim, naiwnie myśląc, że będę miał szansę nauczenia się tu kilku (docełowo: wszystkich) języków słowiańskich. Literatury słowiańskie pociągały mnie dużo mniej. Tryb studiów na początku lat 80. jednak tak mocno wiązał studenta z konkretnym tokiem studiów (40 godzin tygodniowo, a każda decyzja personalna, w tym zamiary indywidualnego studiowania, wymagały zgody opiekunów naukowych), że trzeba było się poświęcić jednej, bardzo konkretnej specjalności. W roku, kiedy zdawałem maturę, nie było, niestety, naboru na coś tak interesującego, jak jugoslawistyka, atrakcyjna także ze względu na wyobrażenia o kontaktach z „socjalistycznym Zachodem”, czyli Jugosławią. Wybrałem więc bułgarystykę jako coś realnego, odległego geograficznie i kulturowo, mając już pewne wyobrażenie o niezwykle oryginalnym systemie gramatycznym języka „bez przypadków”, a jednak w pełni słowiańskiego. Już po pierwszym roku studiów wysłano mnie na miesięczne seminarium wakacyjne do Wielkiego Tyrnowa, a parę miesięcy później na 4-miesięczne stypendium do Sofii. Te i kolejne późniejsze wyjazdy solidnie ugruntowały moją bułgarystyczną świadomość i związały z tą specjalnością. Na szczęście w czasie studiów przeszedłem ciernisty szlak gramatyki porównawczej języków słowiańskich, bułgarskiej gramatyki historycznej, języka staro-cerkiewno-słowiańskiego, dialektologii słowiańskiej i innych przedmiotów, później samodzielnie musiałem się przygotowywać do wykładów z „Wstępu do filologii słowiańskiej” czy „Typologii języków słowiańskich” itd., co dało mi wystarczające wyobrażenie o gramatykach wszystkich języków słowiańskich. Wracając do naiwnego marzenia – jeśli nie mówię wszystkimi językami słowiańskimi, to na pewno poznałem ich dzieje i systemy gramatyczne.

Jak wspomina Pan studia i początki swojej kariery naukowej? Kogo uważa Pan za swojego mentora?

Studia upłynęły mi... zbyt szybko, nie udało mi się niczego przedłużyć – dodatkowy czas wykorzystałbym na uczenie się języków, jednak przerwa w edukacji zostałaby w tamtym okresie, rzecz jasna, zauważona przez naszą ludową armię. W czasie studiów wszystkim moim rówieśnikom dane było przeżyć euforię pierwszej „Solidarności” (proszę sobie wyobrazić naszych studentów, spacerujących dumnie po Żiwkowowskiej Sofii w t-shirtach z obelżywym w umysłach komunistów napisem „Element Antysocjalistyczny”!), strajki studenckie i wykłady na „nieprawomyślnie” tematy, później stan wojenny i groźbę rozwiązania Uniwersytetu. Motywacją dla mnie do terminowego zdawania egzaminów

na odpowiednim poziomie były m.in. semestralne nagrody za stosowne wyniki sesji egzaminacyjnej (stypendium nigdy nie otrzymywałem, ale szczęśliwie pobyt w domu akademickim i wyżywienie na stołówce były tanie). Pomyślna obrona pracy magisterskiej i ogólnie niezły wynik studiów dały mi prawo starać się o przyjęcie w drodze konkursu do pracy na stanowisku młodszego asystenta w Instytucie Filologii Słowiańskiej (tak się wtedy nazywaliśmy) – nie było wówczas studiów doktoranckich.

Praca zawodowa na pełen etat oznaczała prowadzenie kilku przedmiotów, więc była bardzo absorbująca, przy tym zawsze fatalnie opłacana – cały czas rozważaliśmy, czy mamy kiedyś szansę na osiągnięcie średniej krajowej zarobków. Dość powiedzieć, że na zakup pierwszego, najskromniejszego komputera (PC AT 286) o wartości moich pięciu (sic!) pensji, musiałem wziąć pożyczkę z banku. Pamiętam, jak w drugim czy trzecim roku pracy już od października przypadło mi prowadzić zajęcia z czterech przedmiotów, zupełnie innych niż w roku poprzednim. Kilka lat po studiach pracę na UW przerwała mi roczna służba wojskowa – było to w „ciekawym”, burzliwym politycznie czasie, którego przełomowym momentem był Okrągły Stół, później kontraktowe wybory parlamentarne i procesy demokratyzacyjne, w których pracownicy UW brali aktywny udział.

Od momentu wyboru ścieżki językoznawczej na studiach moim opiekunem był prof. dr hab. Janusz Siatkowski – główny promotor mojego magisterium (drugą opiekunką pracy była wybitna językoznawczymi o wielu zainteresowaniach naukowych, przede wszystkim onomastycznych, prof. dr hab. Ewa Rzetelska-Feleszko). Moja praca magisterska, co jest dość modne dzisiaj, była interdyscyplinarna – wymagała znajomości trzech dziedzin językoznawstwa: dialektologii bułgarskiej, onomastycznej kategorii mikrotoponimii (lądowej i wodnej) i teoretycznej problematyki wyznaczoności/określoności. Profesor Siatkowski opiekował się też cierpliwie moim bardzo rozbudowanym doktoratem ze słowotwórstwa polsko-bułgarskiego. On też, już po moim doktoracie i powrocie z rocznego pobytu na LMU w Monachium, wprowadził mnie do kolektywu polskiej komisji narodowej OLA.

Jest Pan członkiem Polskiej Komisji Narodowej Ogólnosłowiańskiego atlasu językowego (OLA). Jak wygląda praca nad atlasem językowym?

Do prac Ogólnosłowiańskiego atlasu językowego (skrót OLA jest właściwie rosyjski, bo w tym języku wydawane są nasze podstawowe publikacje, czyli atlasy – *Общеславянский лингвистический атлас*),

do niezwyklego grona badaczy, prawdziwej „słowiańskiej wieży Babel”, jak wspomniałem, zostałem zaproszony niedługo po obronie doktoratu. Schlebiam sobie, że rekomendacja profesorów Janusza Siatkowskiego i Jana Basary (z Instytutu Języka Polskiego PAN) była chyba dowodem mojej dojrzałości do pracy z całą problematyką słowiańską, zarówno w ramach języków literackich, jak i dialektów, gdzie koniecznie potrzebna jest znajomość diachronii.

Pierwsza praca, jakie wykonałem dla OLA, polegała na przygotowaniu indeksów z polskiego materiału językowego zebranego z naszych prawie 90 punktów terenowych i zawiezieniu ich na konferencję do Zadaru, w 2002 roku. Każdego roku spotkania odbywały się jesienią w innym kraju słowiańskim, więc miałem szczęście odwiedzić w ten sposób wiele ciekawych miejsc (choć nie we wszystkich spotkaniach mogłem uczestniczyć – nie byłem w Sarajewie i Mińsku, a z powodu aneksji Krymu nie zorganizowano posiedzenia w Kijowie). Seria posiedzeń stacjonarnych została zawieszona na czas epidemii Covid-19, a później najazdu Rosji na Ukrainę. Jak wiadomo, np. polska strona zawiesiła wszystkie kontakty z naukowcami rosyjskimi, a bez Rosjan nic w OLA wydarzyć się nie może. W czasie naszych spotkań roboczych, wymiany korespondencji, dosłownie zawsze panuje zasada, że każdy ma prawo (czasem obowiązek protokolarny) mówienia we własnym języku, a inni muszą go rozumieć, ale robią to bez trudu – pozwalają na to ich kompetencje. Przebywanie w jednym miejscu w takiej ogólnosłowiańskiej grupie wywoływało u mnie coś w rodzaju „słowiańskiego zawrotu głowy” – radosną i pełną świadomość zadziwiającej bliskości naszych języków.

Co do samej pracy nad atlasami – zebrane przez komisje narodowe materiały trafiają do osób, które zostały wyznaczone do opracowania danych map (z indeksami). Mnie już na pierwszej konferencji przydzielono do wykonania 3 mapy do tomu z serii fonetycznej o kontynuantach psł. *e. Jeszcze do tego momentu (czyli włącznie z pierwszą moją konferencją w Zadarze) metoda pracy była „papierowa” – znaki kartograficzne nanoszono, wykorzystując wojskowe linijki kartograficzne, na specjalny ogromny arkusz papierowy formatu B3+, na najbliższym kolejnym spotkaniu poprawność zapisów i interpretacji była potwierdzana podpisami przez wszystkie komisje, po czym taki arkusz przekazywano zecerowi w wydawnictwie, co stawało się zawsze początkiem serii niezwykle wyczerpujących korekt.

Każdy tom jest koordynowany i wydawany przez jedną komisję narodową, jednak dla zapewnienia zachowania ciągłości koncepcji Atlasu i ustalonych standardów każda mapa musi powstawać we

współautorstwie, czyli przy współodpowiedzialności osoby z innej komisji narodowej. Szczęśliwie do OLA trafiłem w przełomowym momencie, kiedy u wszystkich (może u mnie najbardziej, jako nowicjusza) niechęć do metody „papierowej” osiągnęła punkt krytyczny i postanowiliśmy opracować wieloczęściowy standard komputerowej metody pracy – chodziło o bezwyjątkowe używanie do pracy komputerów: edytorów, arkusza kalkulacyjnego do gromadzenia danych terenowych, profesjonalnego programu graficznego wraz z cyfrowym szablonem mapy punktów oraz kolekcji przebogatych krojów (fontów) znaków fonetycznych i kartograficznych, zaspokajających wszystkie nasze potrzeby. Pozwalało to już na elektroniczną wymianę danych bez ich przepisywania. Kolejne tomy były już tworzone „po nowemu”. Przydzielano mi opracowywanie map do kilku tomów, ale z konieczności największy wkład (22 mapy) miałem w 9. tomie słowotwórczo-leksykalnym „Człowiek. Anatomia”, wydanym przez komisję polską. Każdy członek OLA pracuje w różnych sekcjach (np. fonetycznej, leksykalnej czy komputerowej), przy czym dla mnie najciekawsza jest praca w sekcji morfologicznej, w której trzeba podejmować nie lada wyzwania – przygotować „scenariusze” wszystkich map, a każdy zapis terenowy (z ok. 830 punktów) musi zostać poddany morfonologicznej analizie uogólniającej, czyli należy ustalić jego uproszczoną jednoznaczną postać etymologiczną. Jest to odpowiedzialna praca diachroniczna na dużą skalę i w bardzo konkretnych ramach czasowych.

W każdym tomie atlasu znajduje się mało rozpropagowany, nawet wśród dialektologów, wykaz dźwięków (fonemów i ich wariantów pozycyjnych wraz z egzemplifikacjami) zarejestrowanych w zebranych z wszystkich 830 punktów materiale terenowym. „Ogólnosłowiański” trójkąt samogłoskowy, z pominięciem opozycji iloczynowych, zawiera, bagatela, 18 jednostek, spółgłosek naliczymy zaś aż 85. Daje to wyobrażenie, z jakim bogactwem mamy w OLA do czynienia i jak relatywnie ubogie fonetycznie są poszczególne języki literackie.

Jestem też członkiem polskiej komisji bardzo interesującego, ambitnego projektu – Atlasu języków Europy (ALE – Atlas Linguarum Europae), w ramach którego uczestniczyłem w kilku bardzo rozwijających intelektualnie konferencjach, bo wypowiediano się tam na tym samym poziomie kompetencji o leksyce wszystkich rodzin indoeuropejskich (do czego w pewnym stopniu byłem przyzwyczajony), a więc zarówno słowiańskiej, jak i bałtyckiej, romańskiej, germańskiej, celtyckiej, greckiej, albańskiej, ale także i nieindoeuropejskich: ugrofińskiej, turkotatarskiej, kaukaskiej, a nawet semickiej. Zestawianie tych danych na mapie całej Europy wydaje się niemożliwe, jednak wybitni językoznawcy, których tam spotykałem,

potrafią rozwiązywać te problemy. Ponieważ trudno przedstawić etymologię i morfologię słów z ponad 2600 punktów w terenie, ze wszystkich rodzin i języków (do każdej mapy należałoby dołączyć księgę komentarzy), głównymi „bohaterami” map ALE są motywacje nazwotwórcze (czyli skąd się wzięła dana nazwa i co sobą przedstawia – można sobie wyobrazić np. motywacje nazw ‘pomidora’: *solanum*, *pomodoro*, *Tomate*, *lycopersicon*, *paradajka* itd., z najłatwiejszych).

Ostatnim (pod względem czasowym) z moich zadań atlasowych w OLA, którego finalizacja przerwana została przez światową pandemię i następnie agresję rosyjską na Ukrainę, jest współudział w opracowaniu kilkunastu map do tomu serii gramatycznej *Zaimki* – nie wiem jednak, kiedy opuści on przymusową „zamrażarkę”.

W centrum Pańskich zainteresowań znajduje się też diachronia języków słowiańskich. Dlaczego, Pana zdaniem, jest to ważne zagadnienie z perspektywy współczesnej sławistyki?

Jak wcześniej wspomniałem, poznawanie języków słowiańskich dokonano się w moim przypadku głównie poprzez poznawanie ich gramatyk, także historii rozwoju. Refleksje na ten temat nieodparcie nasuwały mi wnioski, że unikatowe podobieństwo (może porównywalne tylko do tego, co obserwujemy w językach tureckich, może też semickich) naszych języków można określić (nieco emfaticznie, wiem), że właściwie są one wciąż dialektami, może usamodzielnionymi, ale wciąż dialektami jakiegoś jednego, wielkiego języka ogólnosłowiańskiego.

Ogólnie diachronia języków słowiańskich rzeczywiście jest dla mnie frapująca z dwóch głównych powodów, przy czym oba rodzaje obserwacji dla mnie oparte są na badaniach diachronicznych. Jeden z tych powodów to bliskość, podobieństwa i różnice między językami literackimi, drugi zaś to bogactwo dialektów, wobec których mam głęboki szacunek, może nawet większy niż do norm literackich, ukształtowanych w dużej mierze gabinetowo przez znawców i produkcję literacką. Zwłaszcza przyglądanie się dialektom słowiańskim wprawia mnie często w zachwyt – jak to było możliwe, że potrafiły one czasem, w sposób unikatowy, w różnych miejscach na obszarze całej Słowiańszczyzny zachować jakieś prasłowiańskie zjawisko, fonem, leksem, formę gramatyczną czy znaczenie. W czasie moich polskich spotkań „w terenie” zdarzyło mi się napotkać w spontanicznej, żywej wypowiedzi zjawiska dawno przez język literacki porzucone, jak np. dualis czy supinum. W podręcznikach przeczytać możemy, że np. w języku polskim czegoś takiego nie ma, ale najwidoczniej użytkownicy gwary nie czytali tych opracowań (byli niepiśmienni)...

Nie wiem, czy jeszcze ktoś uważa, że gwara to „popsuty” język. Wspomniałem już, że wobec „prawdziwych” gwar (w odróżnieniu od obszarów, które zmieniły się językowo w wyniku czyjejś ekspansji językowej czy politycznej) jestem pełen głębokiej pokory, ponieważ ich korzenie sięgają półtora-dwa tysiące lat w głąb, wprost do czasów prasłowiańskich. Z jednej strony w gwarach spotykamy przykłady niezwyklej trwałości faktów językowych, mnogość archaizmów. Z drugiej zaś ktoś mógł przewidzieć, że np. niektóre gwary słowiańskie, najpełniej syntetyczne, wręcz wzorcowe pod tym względem, najbliższe językowi, który nazywamy staro-cerkiewno-słowiańskim, w ciągu kilku wieków (czyli historycznie w kilka chwil) ulegną przemianie do stanu pełnego analityzmu, albo dlaczego np. archaiczny w swojej strukturze język polski (precyzyjnie: gwary lechickie) tego nie zrobił, trwając od wieków przy syntetyzmie i ulegając tylko drobnym zmianom gramatycznym?

To, o czym mówię, czyli podobieństwo zarówno gwar, jak i języków literackich nasuwa mi zawsze myśl, że w jakimś sensie język prasłowiański wciąż żyje. To może trochę naiwna refleksja, która jednak nieustannie mi ona towarzyszy i motywuje do różnych dociekań i poszukiwań.

Z „Zeszytami Łużyckimi” jest Pan związany od wielu lat. Jak wspomina Pan początki czasopisma i co zmieniło się od tamtej pory?

To prawda, że od bardzo dawna, już od pierwszych numerów, jestem w kręgu osób związanych z „Zeszytami”, wtedy o zdecydowanie prołużycim charakterze. W swojej „karierze” pełniłem nawet różne funkcje redakcyjne (członka redakcji, sekretarza czy zastępcy redaktora naczelnego), wykonywałem też inne czynności (głównie jako składacz). Byłem redaktorem prowadzącym niektórych tomów, oddałem też „Zeszytom” kilka tekstów. Wcześniej ode mnie w redagowanie i wydawanie naszego pisma włączony został dr Jerzy Molas. Jego zasługą było m.in. szybkie przerwanie wydawania zeszytów jako maszynopisu powielanego i wprowadzenie na stałe składu komputerowego otwartym, więc udoskonalanym i wzbogacanym przez bardzo kompetentnych informatyków („zecerów”) systemem `TEX` typu *open-source* (dziś korzystamy z programu InDesign). Obaj zostaliśmy wciągnięci do tych prac przez panią profesor Ewę Siatkowską, która zachęcała do pisania tekstów sporą grupę pracowników naukowych i studentów. Nie każdy stawał się potem sorabistą, dla niektórych praca w kolektywie autorów była tylko przygodą studencką, jednak kilka osób to dzisiaj kwalifikowani sorabiści, działający w Polsce i za granicą koledzy: dr Michał

Stefański, dr Tomasz Derlatka, dr Piotr Głogowski, mgr Anna Jakubowska (z d. Hejduk), dr Bożena Itoya (Makowska). Finanse na wydawanie pisma prof. Siatkowska początkowo uzyskiwała na terenie Uniwersytetu, starając się też o dotacje od innych instytucji, a nawet o wsparcie ze strony osób prywatnych. W pewnym momencie na wiele lat ustalił się tryb stawiania do konkursu o środki dziekańskie na publikację czasopism. Dziś, w nowych realiach, jesteśmy uczestnikami i beneficjentami grantów, co zasadniczo zmienia sposób finansowania naszych działań.

Misją pisma i zadaniem redakcji była wówczas w dużej mierze i przez wiele lat popularyzacja wiedzy o najbliższych nam łużyckich braciach, ich historii, kulturze, językach i literaturze, przy czym wciąż nasz instytut, mimo działań prof. Siatkowskiej (organizowała w instytucie kursy języka górnołużyckiego, wysłała też kilka osób na kursy wakacyjne do Budziszyna, wspierała starania o semestralne stypendia sorabistyczne w Lipsku, których absolwentką jest np. mgr Jakubowska) nie mógł bardziej trwale osadzić sorabistyki w swoim programie studiów (zresztą podobnie jak to było z niespełnionym marzeniem innych osób o macedonistycę).

Od samego początku redakcja przyjęła profilowanie tematyczne poszczególnych tomów, często też charakter publikowanych tekstów związany był np. z osobą naukowca, któremu dedykowaliśmy dany numer, tomy zaś miały swoich indywidualnych redaktorów prowadzących. Działania popularyzatorskie w praktyce określały „Zeszyty” przez lata jako pismo częściowo studenckie pod kompetentnym patronatem prof. Siatkowskiej. Z czasem ten tryb pracy zaczął się zmieniać i pismo zaczęło „poważnieć” – nowa redaktor naczelna, dr Elżbieta Wrocławska, ustaliła jako obowiązek naukowy wymóg recenzowania artykułów i wprowadziła „Zeszyty” na listę czasopism podlegających punktacji ministerialnej. Ten profil roboczy i stałe podwyższanie poziomu naukowego utrwaliły się jeszcze bardziej, gdy redaktorem naczelnym został na kilka lat dr Jerzy Molas. Jak zaś pismo wygląda dziś, kiedy nim kieruje prof. Iliana Genew–Puhalewa, każdy może stwierdzić i ocenić sam – przede wszystkim staliśmy się półrocznikiem, widać też wielką różnicę na okładce, na której do tej pory, od pierwszego numeru, widniała podobizna akwareli Měrćina Nowaka–Njehchorńskiego *Bój z paliwaku* (‘Walka ze smokiem’, domyślnie: germanizacji). Przez szacunek dla tradycji rycina jest obecna wciąż w nowych tomach, ale ukryta wewnątrz, na stronach przedtytułowych. Rewolucyjna zmiana charakteru pisma została uwidoczniła na okładce, w podtytule nazwy. Niegdyś zajmowaliśmy się zasadniczo problemami Łużyczan, czasem też innych Słowian, w realiach życia w mniejszości, podczas gdy teraz już interesuje nas „mniejszościowość” na całym świecie, już nie tylko wąsko słowiańska

(bo były już artykuły o Baskach, Bretończykach, Retoromanach itd.) czy europejska (bo był artykuł o sytuacji na Tajwanie), lecz też zagadnienia językowe, kulturowe, religijne, nawet socjalne. Dodam jeszcze, że, idąc za ogólnymi tendencjami wydawniczymi, zaprzestaliśmy wydawania tomów papierowych – kilka ostatnich numerów, włącznie z niniejszym, publikowanych jest już wyłącznie w postaci elektronicznej i tworzonych trybem ściśle sformalizowanej współpracy zespołowej na profesjonalnej, zewnętrznej platformie internetowej.

Jest Pan nie tylko badaczem, ale również nauczycielem. Jakie są Pańskie doświadczenia z pracy ze studentami?

Często się zastanawiałem, czy nie byłoby lepiej o miejsce do pracy naukowej ubiegać się w instytucji takiej jak np. Instytut Sławistyki (dawniej: Słowianoznawstwa) PAN i zajmować się tylko pracą w gabinecie, w domu i w bibliotekach. Po kilku latach pracy na uniwersytecie miałem już jednak pewność, że takie zajęcie się wyłącznie sobą lub współpracą z kolegami to rodzaj samoizolacji, które nie odpowiada mojemu charakterowi i temperamentowi. Wiem, że spotkania i dyskusje z kolegami, a także ze studentami w czasie zajęć dużo lepiej ożywiają moje własne myślenie. Już Rzymianie stwierdzili, że *docendo discimus* i wiem, że to jest prawda. Żeby wyłożyć jakieś informacje czy koncepcje, trzeba je sobie samemu dobrze wcześniej poukładać w głowie. Samo przygotowywanie się do zajęć jest dla mnie o wiele bardziej kreatywne niż indywidualne zgłębianie jakiegoś problemu naukowego. Pewnie trochę też wątpiłem w to, czy wyłącznie „prze-czytana” wiedza, zawarta w książkach naukowych, nawet bardzo ważnych podręcznikach skutecznie trafia do umysłów młodzieży i czy poszerza ich horyzonty poznawcze.

Możliwość przekazywania wiedzy, komentowanie wiadomości, zaciekawianie problematyką językową, pomoc w jej porządkowaniu w głowach studentów – wszystko to jest dla mnie bardziej pociągające niż wspomniane zacisze gabinetu. Wprawdzie chyba każdy nauczyciel przeżywa kryzys, kiedy widzi, że to, co mówi, nie interesuje słuchaczy albo nie trafia do ich świadomości, za to wpada w radosne uniesienie, kiedy widzi autentyczne zainteresowanie, słyszy dociekliwe pytania, a studenci czasem mają zaskakująco bogatą wiedzę z różnych dziedzin i dyskusja z takimi osobami po prostu rozwija intelektualnie. Dlatego też cenię sobie pracę ze studentami „zawsąd” w ramach ogólnouniwersyteckich kursów w czasie niedawnej kilkuletniej przygody współpracy z uniwersytecką fundacją „Babel”, popularyzującą znajomość języków biblijnych – hebrajskiego, łaciny, greckiego,

koptyjskiego, a więc i staro-cerkiewno-słowiańskiego. Lubię też zajęcia typu OGUN z scs-u, na których pojawiają się germaniści, romaniści, łacinnicy, historycy, prawnicy, był też jakiś geolog. Było zawsze z kim i o czym porozmawiać.

Przez wiele lat byłem opiekunem Koła Naukowego Sławistów – w tamtych realiach skupiałem się głównie na wspieraniu inicjatyw studenckich, ponieważ stwierdzałem rok po roku, że w tak małym instytucie trudno było połączyć większą grupę wspólnymi zainteresowaniami o charakterze naukowym. Nie chcę tu bynajmniej przedstawiać tych osiągnięć w postaci własnych zasług, więc powiem, że udało się nam wraz z najaktywniejszymi członkami Koła zorganizować takie przedsięwzięcia, jak wyprawy naukowe w różne strony (do Czech, Chorwacji, Słowenii, Bośni i Hercegowiny, Bułgarii, Macedonii czy na Łużyce). Studenci zorganizowali kilka konferencji naukowych (np. konferencje słowenistyczne, których plonem były publikacje książkowe), a także publikowali artykuły w naukowych czasopismach studenckich.

Nie potrafię policzyć, ile przedmiotów przyszło mi wykładać w czasie czterech dziesiątek lat pracy, ale było tego sporo i musiało to poszerzać horyzonty myślowe. To kolejna wielka różnica między „gabinetem” a salą wykładową. Inny wątek: jako młody asystent zostałem przez Centrum „Polonicum” zaproszony do pracy jako lektor języka polskiego, głównie w czasie kursów wakacyjnych. Ta współpraca, trochę może początkowo przypadkowa, trwała niemal 30 lat. Zajęcia z polonistami i sławistami z całego świata, konieczność wymyślania sposobów, czasem trików dydaktycznych, podpowiedzi, jak słuchacze mają pokonać problemy gramatyczne i trudności fonetyczne naszego języka, zmuszała mnie do intensywnej gimnastyki intelektualnej – zupełnie inaczej trzeba było mówić do Słowian („syntetycznych” i „analitycznych”), inaczej do Niemców, Włochów, Francuzów czy Amerykanów, przydzielanych do tej samej grupy lektoratowej. Wtedy także, ucząc, intensywnie się uczyłem. Bardzo mi się to przydało w czasie pracy przez dwa semestry na monachijskim uniwersytecie LMU.

Pewną okolicznością, która skutecznie powstrzymywała mnie przed szukaniem innych dróg życiowych (zapewne bardziej atrakcyjnych materialnie) jest coś, co odczuwam zawsze jako drogi sercu, wielki uniwersytecki komfort psychiczny. To miejsce jest w moich oczach enklawą ludzi inteligentnych i kulturalnych, zazwyczaj dobrze wychowanych i etycznych, a także szanujących język. Mimo niektórych niezbyt sympatycznych zachowań ambicjonalnych wszyscy starają się utrzymywać pewien poziom moralny. Zawsze pamiętać będę przykłady działań ideowych, altruistycznych, wspomnienie o których chwyta mnie za serce, a które może trudno

by było spotkać poza naszą bramą z orłem otoczonym pięcioma gwiazdami.

Chciałbym tu wspomnieć o faktach, które nie są wprost związane z dydaktyką, raczej ogólnie z moimi losami i dziejami naszego Instytutu jako okoliczności znamienne. Otóż w pewnym momencie postanowiłem skoordynować siły grupy kolegów (czyli stworzyć małe lobby, głównie językoznawcze, co było charakterystyczne) i doprowadzić IFS do wejścia w posiadanie pierwszego komputera. Niektóre ważne osoby odwodziły naszą „grupę inicjatywną” od tych zamiarów, dowodząc, że „przecież my, sławiści, mamy swoje maszyny do pisania, więc po cóż nam jakieś takie dziwne urządzenia”. Udało się jednak uzyskać przyzwolenie na przejście od bardziej zawansowanych komputerowo kolegów z pracowni komputerowej na naszym wydziale (co pamiętają na pewno profesorowie Magdalena Derwojedowa i Mirosław Bańko) wspaniałego PC XT z twardym dyskiem o pojemności 10 MB (sic!). Ja awansowałem na „starszego komputerowego” w IFS, kilka osób nauczyłem obsługi tej maszyny. Jako pierwszy wprowadziłem też do instytutowej pracy wydawniczej wspomniany system składu tekstów T_EX – mimo strasznej mizerności kryzysowej mogliśmy już porzucić standard maszynopisu powielonego i półprofesjonalnie wydawać książki, najpierw tomy po konferencjach prof. Dąbek–Wirgowej (serie *Obrazów* i *Kategorii*), następnie „Zeszyty Łużyckie” itd. Po jakimś czasie zdobyliśmy środki na ręczny skaner, potem drukarkę laserową i tak to poszło...

Nie mogę sobie też odmówić wzmianki o tym, że z dawnych czasów mieszkania w Domu Pracownika Naukowego przy ulicy Smyczkowej pozostała mi osobista, nawet bliska, bo sąsiedzka, znajomość z osobami, które dziś zajmują ważne stanowiska w hierarchii Uniwersytetu i nie tylko...

A co do studentów – szczęśliwie spotkałem wśród nich wiele osób kryształowych, życzliwych, o wysokiej kulturze osobistej i nienagannyh manierach. Rozmowy prywatne z nimi wzbogacały mnie duchowo. Zabiorę ze sobą kiedyś te życzliwe wspomnienia i chciałbym, żeby moi byli studenci też mnie dobrze wspominali.

Pańską drugą wielką pasją jest ogrodnictwo. Jak narodziło się Pańskie zamiłowanie do roślin?

Bardzo dziękuję za to pytanie, które dotyczy mojego hobby, mającego jednak pewien walor twórczy i praktyczny, a trochę też ideologiczny. Od dziecka miałem kontakt z pracą na roli (wakacje regularnie spędzane u rodziny na wsi i praca w polu). Od podszewki zatem mogłem poznawać ciężki, twórczy trud, dający jednak wiele satysfakcji. „Grzebaniem się w ziemi”

była też opieka nad roślinami, których zawsze w moim domu rodzinnym było wręcz za dużo. W ostatnich latach obszerny balkon własnego mieszkania pozwalał mi rozmnażać z nasion i pestek wiele roślin – daktylowce, awokado, figi, paulownie, cytrusy i wiele innych, zwłaszcza nieco egzotycznych, najchętniej ze strefy śródziemnomorskiej. W pewnym momencie zaś, dzięki wspaniałomyślności kolegi i wieloletniego przyjaciela, dr. Jerzego Molasa, zostałem szczęśliwym użytkownikiem działki ROD, którą zacząłem urządzać po swojemu, ucząc się (głównie na błędach, czyli najskuteczniej) i trochę eksperymentując. Błędy i ciężka praca fizyczna jednak nigdy mnie nie zniechęcały, raczej starałem się uważnie słuchać lekcji matki Natury – Paczamamy. Moją ambicją na działce nie były kwiaty, uwagę i siły poświęciłem głównie warzywnictwu, czyli wytwarzaniu żywności. Ktoś powiedział, że jeśli się samemu produkuje żywność, to tak jakby się samemu legalnie drukowało pieniądze. Jest w tym chyba ziarno prawdy. Moim „dogmatem” jest uprawa roślin w warunkach maksymalnej czystości ekologicznej, na naturalnie wytwarzanym podłożu kompostowym. Mogę teraz już sobie pozwolić na rozdawanie przyjaciołom nadmiaru plonów oraz najcenniejszego na świecie nawozu naturalnego, wermikompostu, prawdziwego i jedyne go czarnego złota, produkowanego „ze śmieci, resztek i odpadków”.

Wiem, że wszystko, co uda mi się wyhodować, ma absolutnie naturalny skład, kontrastujący z przesyconym chemią dzisiejszym otaczającym nas światem. I jeśli nawet bywa tak, jak to ujął przekornie ktoś w USA, kto w warunkach marazmu covidowego odkrył, że wypielęgnowany trawnik za domem można zamienić w ogródek warzywny i poznał dzięki temu prawdziwy smak samodzielnie wyhodowanej sałaty, marchewki, ogórka, może nawet pomidora: *Poświęciłem trzy najpiękniejsze miesiące roku, żeby zaoszczędzić trzy dolary i osiemnaście centów*, to wszyscy mają przeświadczenie, że warto tak robić. Praca na działce, co też potwierdza bardzo wiele osób, jest też bardzo praktycznym i przepelnionym głębokim sensem sposobem prowadzenia ćwiczeń fizycznych na świeżym powietrzu, w intensywnym aromacie bijącym od ziemi, trawy, liści i kwiatów, w scenerii koncertów żab, sójek, sikorek, dzikich gołębi, kukulek, pod przelatującymi wiosną i jesienią kluczami wędrownego ptactwa. Wyszukuję i zbieram ciekawe pomysły na takie ekologiczne ogrodnictwo, chętnie eksperymentuję i może kiedyś, niedługo, jeśli siły pozwolą, a czasu na ogrodnictwo będę miał więcej, spróbuję wszystkie swoje doświadczenia i wysiłki wykorzystać na taką praktyczną skalę, żeby zdrową żywnością móc wspierać osoby najbardziej tego potrzebujące, np. chore.